

№ 23. Rok XVI.

Dnia 25 Maja (6 Czerwca) 1896 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

*Psie* *K*  
JCH CESARSKIE MOŚCI.



rzekła Ada  
zamknięte

Najjaśniejszy Pan Mikołaj II Aleksandrowicz.

Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna.

# KORONACYA ICH CESARSKICH MOŚCI

NAJJAŚNIEJSZEGO PANA

## Cesarza Mikołaja II-go Aleksandrowicza

i NAJJAŚNIEJSZEJ PANI

## Aleksandry Teodorówny.

Moskwa 26 Maja.

O godzinie 10-iej i pół z rana odbyła się wielka uroczystość. Najdostojniejszy Monarcha koronował się wobec Rodziny Cesarskiej, książąt zagranicznych, dostojników i przedstawicieli stanów.

O godzinie 10-ej m. 4 Najjaśniejszy Pan przeczytał głosem silnym i dźwięcznym symbol Wiary; o godzinie 10 ej m. 30 z rana włożył na siebie koronę, a w trzy minuty później włożył małą koronę na głowę Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny. Po przeczytaniu pełnego tytułu Cesarskiego o godzinie 10 m. 40 rozpoczęła się salwa, poczem Ich Cesarskich Mościom Najjaśniejszym Państwu składały

życzenia Osoby Rodziny Cesarskiej, Książęta zagraniczni i Księżniczki.

O godzinie 10 m. 55 Najjaśniejszy Pan, przyklękawszy, odczytał ustanowioną modlitwę, następnie metropolita petersburski przeczytał modlitwę za Cesarza od całego narodu, przyczem wszyscy uklękli. Po Pomazaniu i po udzieleniu Komunii św. Najjaśniejsi Państwo, we wszystkich oznakach godności Cesarskiej, przeszli do Soborów Archangielskiego i Błagowieszczeńskiego, a następnie przez „Krasne Krylco” do pałacu Kremłu. Z „Krasnego Krylca” Najjaśniejsi Państwo skłonili się ludowi. Entuzjastyczne okrzyki „hura” były odpowiedzią na ukłon Monarchy.

# NIEZNAJOMA Z PODDASZA

POWIEŚĆ PRZEZ

Bronisławę Borawską.

(Dalszy ciąg).

Krótką była jej modlitwa, pragnęła bowiem zapanować nad ogarniającem ją wzruszeniem.

Powstała i rozejrzała się czy jej kto nie widzi. Bała się w tej chwili ludziom pokazać.

Spostrzegła jednak coś, czego dotąd w tym pokoju nie było, to jest fotel wygodny, przed nim stoliczek przykryty sukienną serwetą, wyszywaną włóczkami, bukietik fiołków i koszyczek do roboty, napełniony bawełną, drutami, szydełkiem i t. p.

Na stoliku leżała książka, nieznajoma pochwyciła ją, była to książka do nabożeństwa: „Bądź wola Twoja”.

Przycisnęła ją do piersi i rzekła z głębokiem przejęciem:

— Bądź wola Twoja!

W tej chwili pani Brzeska weszła do pokoju.

Nieznajoma zwróciła się ku niej wzruszona i pomieszana, nie wiedziała czy ma wyciągnąć ku niej ręce, co było jej pierwszym poruszeniem, lecz zawahała się, nieznana, miałaż prawo do podania ręki.

Lecz pani Brzeska zrozumiała to jej poruszenie i zawahanie, wyciągnęła ku niej obie ręce, a chcąc odjąć coś z powagi tej chwili, rzekła wesoło:

— Otóż dzięki Bogu zdrowie wróciło, jak ta moja dziewczeczka się ucieszy, gdy panią ujrzy chodzącą. Ona tu już dziś była, przyniosła z Antosią fotel i ustawiła, a fiołki i różę zerwała. Muszę już wszystko powiedzieć, bo to jest duma matki, ona tak w tajemnicy i tę serwetę wyszywała, aby kochanej pani stolik przykryć.

— Anioł nie dziecko — rzekła nieznajoma, nie mogąc nic więcej powiedzieć.

— To książka od mego męża — mówiła pani Brzeska tak swobodnie, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza w świecie — pocziwy Stach mój pragnął także coś się pani przysłużyć, bo żeby pani wiedziała jaki on dobry.

Nieznajoma mówić nie mogła, złożyła ręce na pierśiach, nogi się pod nią chwiały, wzruszenie odbierało jej siły.

— Otóż to — rzekła pani Brzeska — pochwaliłam panią żeś zdrowa, a tu widzę daleko podobno do tego

Posadziła więc chwiejącą się kobietę na fotelu i dodała poważnie:

— Niechże się droga pani uspokoi, widzę, że jesteś wzruszoną, a za karę, śniadanie jeszcze w swoim pokoju jeść dziś będziesz, choć dzieciaki cieszyły się, że przyjdiesz do naszego towarzystwa.

Upłynęło dni kilka, nieznajoma stawała się coraz więcej zamyślona, jakby zbierając jakieś wspomnienia.

Dnia jednego Ada odwiedziła Wańdzię, z czego ta mimo radości, była jakby zakłopotaną. Ada w pierwszej chwili nie zauważyła tego, dopiero gdy spostrzegła, że pilnie zamykają drzwi do pokoju, w którym się zwykle młodzi bawili, zauważyła również, że Wańdzia ma wtedy minkę tajemniczą.

— Czy macie gości? — zapytała Ada.

— Tak — odrzekła Wańdzia, nie wyjawiając co to za gość, o którym się nie mówi.

— Czy to twoja ciocia?

— E nie, to... ale, może ja ci to później powiem, nie znasz tej pani, doprawdy nie znasz.

— Czy to tajemnica?

Wańdzia zaczerwieniła się i spuściła na chwilę oczy, a gdy je podniosła aby coś odpowiedzieć, Ada rzekła prędko:

— Przepraszam cię za moją ciekawość, jestem niepoprawną, nie mów nic najdroższa, ja się już o nic nie pytam.

— Ja myślę Ado, że przyjdzie czas, kiedy ci wszystko opowiem, ale dziś jeszcze nie mogę.

— Ja też nie pytam, Wańdziu, widzę, że to coś ważniejszego aniżeli to co ja wiem, a jednak, nie powiadam ci tego przecie. Przyznam się nawet, że zapytywałam mej mamy, czy mogę ci to powiedzieć, a mama uśmiechnęła się i powiedziała, że to znów nie jest tak wielką tajemnicę, tylko mama chce przyuczyć mnie, abym umiała być wstrzemięźliwą w mowie. Mówiła jeszcze mama, że tobie nie a nic nie zależy na tem, czy to będziesz wiedziała lub nie.

— Ja tylko w pierwszej chwili byłam ciekawą — przyznała się Wańdzia szczerze — ale teraz, wierzaj mi, że wcale mię to nie obchodzi.

— Ja tego o sobie powiedzieć nie mogę — rzekła Ada z uśmiechem, spoglądając nieznacznie na drzwi zamknięte — ale doś tego.

Przy pożegnaniu, Wańdzia szepnęła do ucha przyjaciółce:

— Nie gniewasz się na mnie Ado?

— Ani trochę — zapewniała Ada.

— Ja ci to potem opowiem z pewnością, jestem pewna, że będziesz tem przejętą.

— Będę cierpliwa, a tymczasem żegnam cię najmiłsza, jutro się zobaczymy.

— Naturalnie, przyjdź tylko wcześniej do klasy.

— Postaram się wstać raniej niż zwykle, bo chociaż nazywają mnie wszyscy śpiochem, ale umiem się poświęcić dla przyjaźni.

Wymówiła to z taką powagą, jakby istotnie rzecz była doniosłej wartości, wymagająca poświęcenia i ofiary z jej strony.

Życie płynęło spokojnie, nieznajoma zyskiwała coraz więcej serca wszystkich, bo choć nie było w niej tej powierzchownej serdeczności i wylania uczuć na zewnątrz, znać jednak było w każdym jej słowie tę głęboką wdzięczność, która wraz z życiem się kończy.

Zamyślała się tylko często często tak bardzo, iż prawie nie słyszała co do niej mówiono. Trwało to dość długo, aż dnia jednego, gdy wszyscy zgromadzili się wieczorem w jej pokoju, co zwykle miało miejsce gdy nie było nikogo z obcych, a nieznajoma popadła w zwykły stan zamyślenia, pan Brzeski rzekł do żony:

— Czy my kochanie nie nadto narzucamy pani nasze towarzystwo, dzieci lubią często mówić wiele, a to dla chorych niezbyt rzecz przyjemna.

Nieznajoma z rodzajem wymówki spojrziała na mówiącego.

— Wy mi się narzucacie? — rzekła miękkim głosem.

— Bo pani od jakiegoś czasu jest smutna i zamyślona... tłumaczyła pani Brzeska męża — my pragniemy, aby pani dobrze było u nas, abyś wypoczęła po chorobie, abyś... zapomniała o przeżytych cierpieniach.

Nieznajoma przysłoniła oczy.

— O, co wy za ludzie jesteście — rzekła przez łzy, które stłumić pragnęła — dla nieznanej, dla takiej biednej kobiety tyle czynicie, jakbym siostrą waszą była.

— Siostrą w Chrystusie — rzekła pani Brzeska — alboż wszyscy nie powinniśmy być jedną rodziną?

— Ale czy tak bywa w istocie? nikt dotąd nie kłopotał się o mnie, nikt nie pokrzepił, nie umocnił, byłam samą!

— Może nie znano prawdziwego położenia pani — rzekła pani Brzeska — o ile wnosić mogę, masz mało ufności do ludzi.

Nieznajoma zamyśliła się głęboko.

— Prawda — rzekła po chwili — unikałam zawsze zawierania znajomości, nie zwierzałam się nigdy nikomu, byłam tak bardzo nieszczęśliwą, iż zdawało mi się, że nigdy i przez nikogo pocieszoną być nie mogę. Zresztą, poco miałam opowiadać obojętnym cierpienia i smutki moje? Współczucia nie spodziewałam się znaleźć, o litość prosić nie chciałam, i gdyby nie to dziecko — mówiła tkliwym głosem — byłabym już skończyła pielgrzymkę ziemską. Bóg dobry nie powołał mnie jednak w takim stanie zubożenia i goryczy, dzięki Mu za to. Ale czas już abyście państwo poznali kogoś daliście przytułek, kogo tak serdecznie przygarnęliście do siebie, chciejcie więc posłuchać historii mego życia.

— Czy tylko niezbyt to wcześnie na te wzruszenia — rzekł z dobrocią pan Brzeski — poczekajmy lepiej aż pani zupełnie przyjdzie do sił i zdrowia.

— Jestem już zdrową — odrzekła — już od dni kilku zbierałam wspomnienia, sięgnę bowiem w przeszłość daleką, nie myślę ukrywać także mych wad i błędów, aby dzieci wyciągnąć mogły dla siebie naukę, bo że sama przyczyniłam się do mego losu, to nie ulega wątpliwości.

— Jeżeli już pani koniecznie chce nam opowiedzieć koleje twego życia — rzekła pani Brzeska — to odłożmy to jeszcze na później, lękam się, czy nie jesteś za słabą.

— Nie, nie — zaprzeczyła nieznajoma — pozwólcie niech raz już zrzucę ciężar z mego serca, wiedzieć przynajmniej komu daliście przytułek. Ach! jedyną dziś dla mnie tylko pociechą, że rumieńcem wstydu nie obleję mej przeszłości, miałam dużo wad, dużo popełniłam błędów, lecz byłam zawsze kobietą uczciwą.

Wańdzia z obawą spoglądała na matkę, aby nie zabroniła mówić nieznajomej, ciekawość jej więcej niż kiedy podnieconą była, co zresztą w obecnym razie, było rzeczą zupełnie naturalną.

— Czy ja mogę tu pozostać? — zapytał Włodek głosem niepewnym.

— Możesz moje dziecko — odpowiedziała nieznajoma, gdyż ona jedna mogła udzielić tego pozwolenia — z życia mego potrafisz zapewne wyciągnąć dla siebie jaką naukę, sięgnę bowiem w przeszłość bardzo daleką, zacznę opowiadanie moje od lat mego dzieciństwa, a nie będę ukrywała wad moich i błędów, które przyczyniły się do stanu, w jakim znaleźliście mnie na poddaszu.

Wańdzia westchnęła na to wspomnienie, cały obraz nędzy stanął przed jej oczami, dreszcz nią wstrząsnął.

Coby się było stało gdyby nie była poszła na poddasze?

Ale, czyż to ona znalazła nieznajomą? Nie, to ten pies któremu podała kawałek chleba, ocałał życie nieznajomej.

Tak, to Bieduś nie ona, a pod wpływem tej myśli i wdzięczności dla swego kudłatego przyjaciela, zerwała się z miejsca i rzekła z żywością:

— Zawołam Biedusia, on tu być powinien.

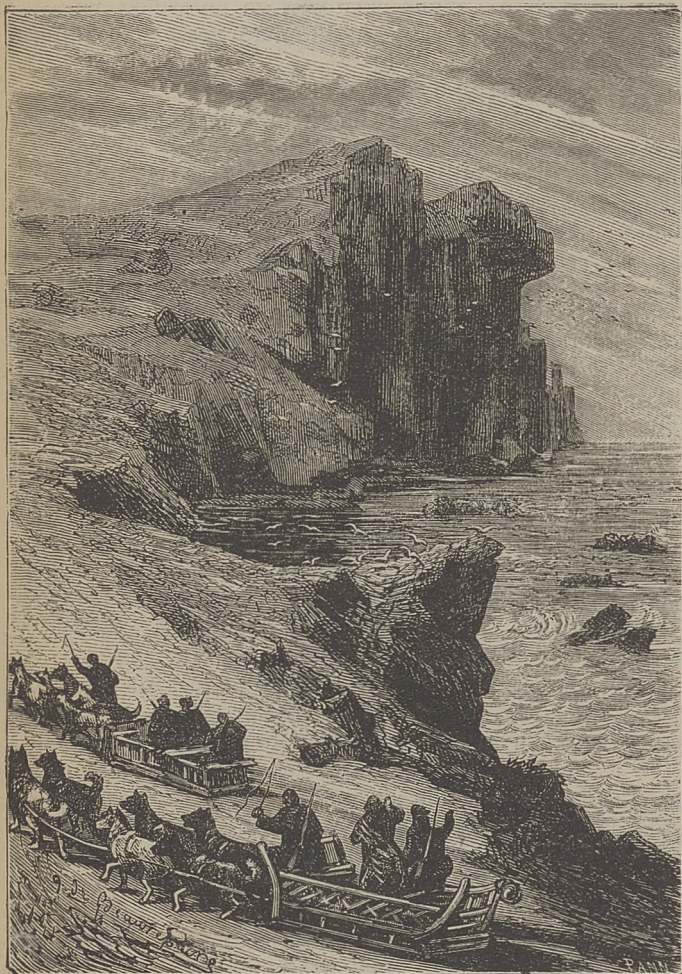
Pan Brzeski, który stawił przed sobą pudełko z papierosami, głośnym wybuchnął śmiechem

— Brawo! brawo! Wańdziu — rzekł wesoło.

Dziewczynka poczerwieniała, poznała bowiem, że odezwała się bardzo dziecinnie.

Ale pani Brzeska wzięła ją w obronę, a Władek pobiegł po Biedusia, który w wesołych podskokach wbiegł do pokoju, wymachując zamaszycie ogonem, jakby chciał dać poznać, że umie cenić uczyniony mu zaszczyt.

Powitał wszystkich po kolei, wspiał się na kolana nieznanajomej, a pogłaskany przez nią, położył się u nóg Wańdzi, którą zawsze wyróżniał widocznie w swem przywiązaniu.



Wybrzeże północnego Labradoru.

— Tylko niech się pani bardzo nie obmawia — rzekł pan Brzeski — bo widzę, że pani nadto dla siebie surowa.

— Bo dużo zawiniłam względem Boga i względem ludzi — odrzekła z pokorą.

Pani Brzeska chcąc mieć myśl swobodniejszą do słuchania, złożyła jakieś białe szycie, a zabrała się do pończochy, bo już to z założonymi rękami i chwili nie umiała posiedzieć.

Nieznanajoma potarła ręką czoło, westchnęła cicho i tak mówić zaczęła:

### Opowiadanie nieznanajomej.

Miałam dwa lata zaledwie gdy straciłam matkę, a pojęcie jak wyglądała, zawdzięczać tylko mogę portretowi, który ją przedstawiał w naturalnej wielkości.

Miała lat dwadzieścia jeden gdy mnie zostawiła sierotą. Byłam jedynaczką, gdyż maleńki braciszek umarł w kilka dni po śmierci matki. Chowałam się pod okiem babki, która,

o ile dziś sądzić mogę psuła mię nadmierną miłością. Wzrastalam w otoczeniu zbytku, gdyż ojciec był bardzo bogatym, a i matka znaczny posag wniosła w dom męża.

Ojciec psuł mię także na swój sposób, tak, że w domu nie było innej woli jak moja, a przyznać muszę, że wola ta w najdziwaczniejszy objawiała się sposób, wszystko musiało być zawsze spełnionem.

Służba miała zalecone, aby mi się w niczem nie sprzeciwiać, co pewnie chętnie spełniano przez pamięć dla mej matki, która była aniołem dobroci, jak powszechnie utrzymywano, a że z twarzy byłam do niej zupełnie podobną, uszono więc, że i jej cnoty i serce, będą także moim udziałem.

A jednak, niestety! większego cudaka jakim ja byłam, chyba nie znalazłby na świecie.

Miałam zaledwie lat cztery, gdy już żadna bona wytrzymać przy mnie nie mogła, mimo, że ojciec dawał pensje jakiej żądały, a babka starała się ujmować je, bogatemi podarunkami. Wszystko to jednak było daremnuem, każda, czy to młoda czy stara, dłużej nad kwartał być nie chciała.

Dziś wnoszę, że trafiali na kobiety uczeiwe, które nawet za pieniądze nie chciały przyczyniać się do wychowywania takiej grymaśnicy i fantastyczki jaką byłam.

Co było początkowo z bonami, potem działo się z nauczycielkami.

Rosłam i chowałam się jak sama chciałam, rozgrymaszona, samowolna, dumna i pyszna bez granic.

Majątek, bogactwo, przepych w życiu, to było w mojem przekonaniu wszystko, co stanowiło wartość człowieka. Kto tego nie posiadał, nazywał się biednym co gorzej, człowiekiem, na którego nie zwraca się uwagi, jak na kogoś nie mającego żadnych praw na świecie.

Babka, jeżeli czasem chciała sprostować me pojęcia lub zganić jakie nierozsądne zdanie, bo pamiętam, że niekiedy zabierała się do tego, na jedno jednak chmurne moje spojrzenie milkła, gdyż doktor powiedział niegdyś, że jestem nerwową, i że należy mi oszczędzać wszelkich wzruszeń, a szczególnie zmartwień.

Oszczędzano mi też tych wzruszeń aż do zbytku, obchodząc się ze mną jak gdybym była bańką mydlaną, rozprysnięcia której obawiano się co chwila. Ojciec mój mało przebywał w domu, posiadał rozległy majątek, a że był zawsze bardzo czynny i sam wszystkie interesa prowadził, nie mógł więc wglądać w moje wychowanie, a czuł się szczęśliwym widząc na mej twarzy uśmiech zadowolenia i wesołość, co przyznaję, nie zdarzało się zbyt często.

Dobry ten ojciec umiał mię tylko pieścić, nazywając swym skarbem i szczęściem.

Skarb też, nabierał coraz więcej wygórowanego pojęcia o swej wartości.

Tak upływały pierwsze lata, miałam już lat dziewięć, ojciec zaczął myśleć o mej nauce, chcąc mi dać gruntowne wykształcenie, bo dotąd czytałam się tyle co sama chciałam, gdy nieszczęście nawiedziło dom nasz. Po krótkiej, gwałtownej chorobie umarła babka. Mnie, z porady lekarza, wywieziono z domu, do dalekiej krewnej mego ojca, obawiając się dla mnie owych niby zabójczych wstrząśnień.

Nie umiałam sobie jeszcze zdać sprawy, co to jest utrata kogoś drogiego na całe życie.

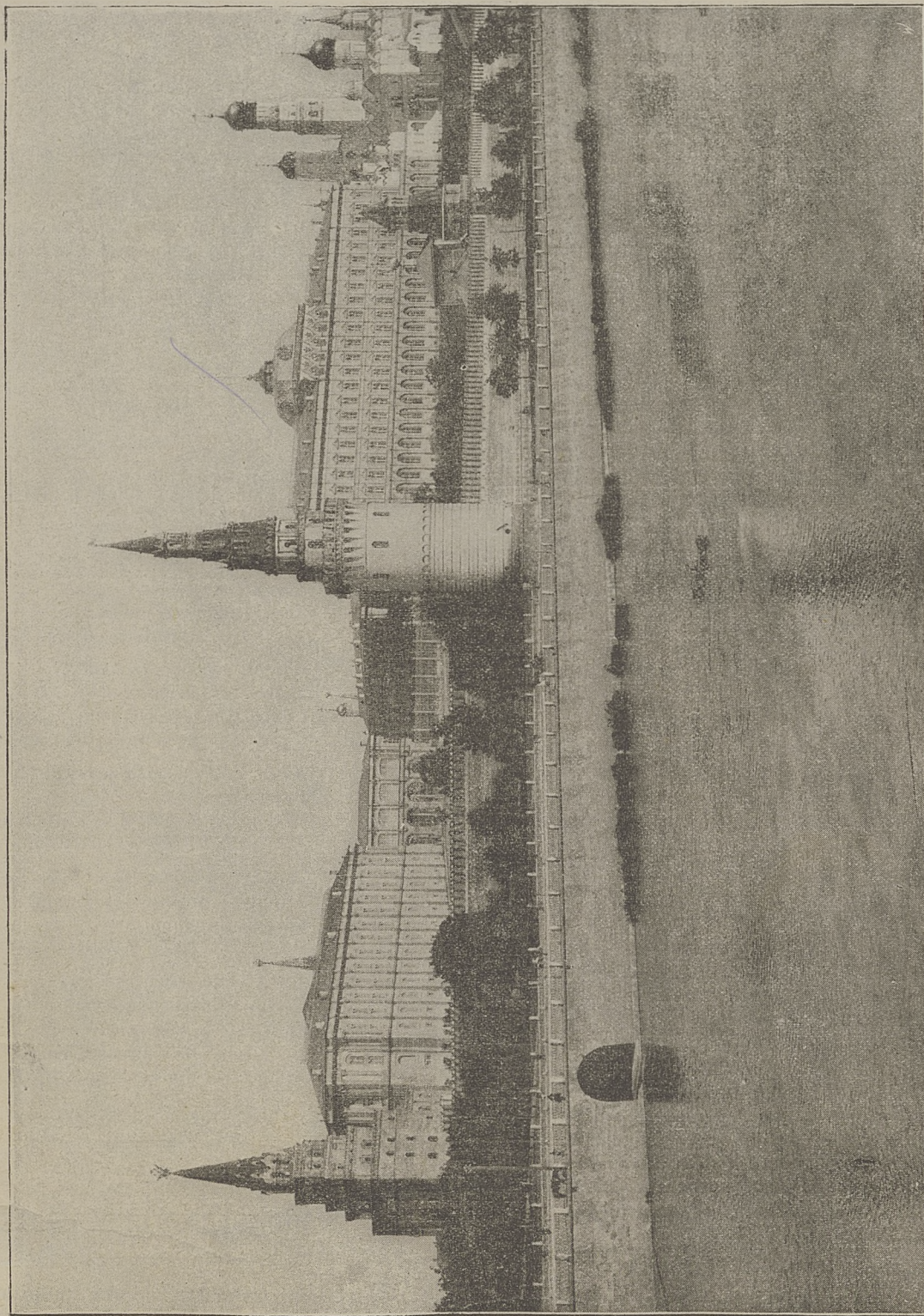
Nie widziałam nigdy śmierci niczyjej, umarłego nie umiałam sobie przedstawić.

Po czterech tygodniach zaczęłam tęsknić do domu, tembardziej, że mi tu wcale nie dogadzano tak, jak do tego byłam przyzwyczajona w domu.

Za pierwszą więc bytnością ojca, który mię często odwiedzał, zaczęłam tak nalegać aby mnie zabrał, że ojciec odmówić mi nie mógł.

Wróciliśmy do opustoszałego domu późnym wieczorem, a że byłam zużona i senna, nie zauważyłam, że nie powitała mię tklwym uściskiem babka, i że jej ręka nie skreśliła krzyżyka nad usypiającą, jak to zwykle bywało

Przez parę dni ojciec nie odstępował mi nie ani na chwi-



Widok Kremlu w Moskwie.

ję. O! jakże on był dobry, jak kochający, a ja nie umiałam ocenić tych uczuć, jedynie ku mnie zwróconych.

Raz, podczas zwykłej przechadzki, ojciec rzekł, trzymając moją rękę w swej dłoni.

— Trzeba córeczko myśleć już teraz o nauce, wyrastasz z lat dziecinnych, czeka cię praca miła i słodka, jeżeli się do niej szczerze zabierzesz.

— Ja myślę tatusiu — odpowiedziałam obojętnie, nie biorąc tych słów w ścisłym ich znaczeniu — wiem przecie, że uczyć się trzeba. Czy będziesz mnie uczył tatuńciu? bo przecież wiem, że panna Adela nie więcej nie umie jak mówić po francusku.

Panna Adela była to obecna moja bona, nie wiem która już z rzędu, a dla której jak i dla poprzednich, nie miałam zbyt wiele poszanowania.

— Nie córeczko — odrzekł ojciec — jutro przyjedzie nauczycielka, ja nie mam czasu abym się zajmował twą nauką.

— Jaktó? jutro tatuńciu? — zapytałam zdziwiona — jutro ma przyjechać nauczycielka a ja dotąd nie o tem nie wiedziałam?

Czułam, że mi ojciec wyrządził jakąś krzywdę, nie radząc się mnie, w tak ważnej rzeczy. Na drugi dzień przyjechała wcale niepożądana dla mnie nauczycielka.

Była to osoba nie pierwszej młodości, bardzo wykształcona, jak utrzymywał mój ojciec, i bardzo dobra jak to umiałam przyznać sama, choć w duszy buntowałam się przeciw niej, jak gdyby to jej było winą, że ojciec mój wybrał ją dla mnie na przewodniczkę i nauczycielkę.

Pamiętam jak tysięcznych używała środków, aby trafić do mego serca i rozumu, napróżno, po kilku miesiącach wyjechała.

Przyjechała druga, trzecia i czwarta, potrafiłam każdej tak umilić życie, że uciekała czempredzej.

Ostatnia, najbardziej zaznaczyła się w mem życiu. Zapomniałam dodać, że po śmierci babki, ojciec zwiózł daleką jakąś swą krewną, która jednak zachowywała się tak biernie, że nic o niej powiedzieć nie mogę.

Niegdyś zajmowała w świecie stanowisko wybitniejsze i odpowiedni majątek, który straciwszy, szczęśliwą się czuła znalazłszy dom, w którym otaczał ją dostatek do jakiego przywykła, żyła więc cicho i najczęściej smutna, nie wtrącając się do niczego, nie mącąc nikomu spokoju.

Wracam do ostatniej mej nauczycielki. Była to osoba mająca lat dwadzieścia parę, nadzwyczaj miła i sympatyczna, wesoła i pełna jak najlepszych względem mnie chęci.

Czułam to, że gdyby nie była moją nauczycielką, byłabym ją mogła kochać nawet. Ale osoba której władzy miałam się poddać z konieczności, nie mogła zająć miejsca w mem sercu, opierałam się temu stanowczo.

Po trzech, lub czterech miesiącach jej pobytu, widziałam, że wesołość mej nauczycielki niknie, a twarz pobladła.

Było mi to przykrem nieco, ale myśl, że i ta pojedzie sobie tak jak i poprzednie, tłumiała w mem sercu powstające uczucie niepokoju.

Po długiej niebytności w domu wrócił ojciec, a ja, nabrałam jeszcze większej śmiałości i pewności siebie.

(d. c. n.)

## Wybrzeże północnego Labradoru.

Sam widok osobliwych sanek zaprzężonych w kilka par silnych psów, którymi kierują ludzie niewielkiego wzrostu, całkiem prawie pozaszywani w futra, jest już dostateczną

wskazówką dla czytelnika, iż ma przed sobą rycinę wyobrażającą jeden z owych krajów, gdzie panuje prawie bez przerwy lodowata królowa zimy.

Jakoż w samej rzeczy widzimy tu w całej grozie ostrego klimatu, śniegiem pokryte wybrzeże północnego Labradoru, znanego półwyspu Ameryki północnej, odkrytego w roku 1497 przez Sebastjana Cabita, który następnie w r. 1550 został zwiedzony i opisany przez Portugalczyka Cortereala i od niego otrzymał pierwsiastkowo swoje nazwisko. Obecnie należy on do Anglików i wchodzi w zakres kompanii Hudsonskiej.

Skąpa roślinność składająca się przeważnie z bżów, owsa, żyta i kartofli, znajduje się tam jedynie w południowej stronie, graniczącej z Kanadą, natomiast zaś dziki ten półwysep zawiera mnóstwo skarbów kopalnych, jako to: miedź, żelazo, asbest, oraz minerał zwany „labradorem”, używany do wyrabiania ozdobnych guzików, tabakierek i pierścieni. Znajduje się tam również wiele dzikich zwierząt dostarczających kosztownych futer, a mianowicie bobrów, niedźwiedzi, kun i lisów. Cały ten ogromny obszar ma około 5000 mieszkańców, po większej części Eskimosów, znajdują się tam prócz tego nieliczni myśliwi, należący do kompanii Hudsonskiej.

## UROCZYSTOŚĆ BOŻEGO CIAŁA.

O! nieśmy pienia i kwiatki,  
Zbawcy okrytemu chwałą.  
Z serca radujmy się działki!  
Dziś Boże - Ciało.

Zstąpiło niegdyś na ziemię,  
Słowo, co Ciałem się stało.  
I ludzkie nawiedza plemię  
Dziś, w Boże - Ciało.

Niech każdy ziemi zakątek,  
Przybierze postać wspaniałą;  
W dniu tej najświętszej z pamiątek.  
Dziś, w Boże - Ciało.

Zbawcy, za życia chleb błogi,  
Za miłość, w śmierci wytrwałą,  
Usypmy kwiatami drogi,  
Dziś, w Boże - Ciało.

A w świętej serca ucieszę,  
Dążmy ścieżkami świętymi,  
Za Nim, jak wierne szły rzesze,  
Gdy żył na ziemi.

E. L.

## Widok Kremlu w Moskwie.

Warownia wewnątrz miasta położona, nazywa się w Rosyi *Kreml*. Ślady takich warowni znajdują się w wielu starych miastach; najwięcej jednak znanym jest Kreml w Moskwie, wybudowany około roku 1300 z drzewa, opasany murem w 1367 r. przez Dymitra Dońskiego, rozprzestrzeniony i przerobiony w 1488 r. za Iwana Wasilewicza.

Obecnie ma około pół mili obwodu i otoczony jest grubymi murami. Mieszczą się tu same budowle rządowe, a pomiędzy nimi zbudowany w 1849 r. pałac cesarski, w którym obecnie odbyły się uroczystości koronacyjne, arsenał ze zbio-

in kosztownej broni, izba skarbowa, gmach synodalny, dwa klasztory i kilka kościołów. W katedrze znajdują się groby wszystkich w. książąt i cesarzów aż do Piotra I-go.

## Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Prosił Franciszka, aby w nocy urządził napad, ale on się na to nie zgodził.

— Wy myślicie tylko o nieprzyjacielu, którego widzimy i którego pokonamy z łatwością, ale jakież będzie nasze położenie, jeżeli inne statki spostrzegą bitwę i otoczą nas? Czekajmy sposobności.

— A jeżeli się żadna sposobność nie nadarzy?

— Zaczekajmy kilka dni. W pierwszą burzę, w pierwszą niepogodę przyrzekam, że wyprowadzę was do boju. Może udałoby się nam schwycić w strażnika, zanim zaalarmuje załogę, ale jeżeli się nie uda, jesteśmy zgubieni. Drzwi na pokład otwarte są tylko we dnie; gdyby się nawet udało połączyć z towarzyszami i napaść na pokład, to będziemy mieli do czynienia z całą załogą. W nocy zaś zamykają drzwi z obawy, ażeby majtkowie nie plądrowali między żywnością i bronią.

— Więc jeżeli nie możemy napaść na Genuńczyków ani w dzień, ani w nocy, to cóż zrobimy?

— Nad tem trzeba się zastanowić. Musimy wyciąć albo tu, albo w oddziale naszych ludzi otwór, przez który się wydostaniemy na pokład. Zabierze to nam kilka dni czasu, ale zdążymy przed przyjazdem do Genui. Cała trudność polega nie na samej pracy ale na tem, żeby ją wykonać niepostrzeżenie.

— To istotnie bardzo trudne — rzekł Matteo; bo marynarze kwaterują na przedzie okrętu, a oficerowie w kajutach nad nami.

— Tak jest Matteo i dlatego my, a nie nasi ludzie musimy przeciąć pokład. Izba w której mieszkają marynarze nie jest niczem podzielona, niema wcale sprzętów i wprost jest niemożliwe wyciąć otwór przez który człowiek dorosły mógłby się precisnąć. Nam, być może, że się to uda, znamy dokładnie plan każdej kajuty i wybierzemy miejsce, gdzie nas nie spostrzegą.

— Tem bardziej, że nie mają tyłu oficerów co my i niektóre kajuty muszą być puste. Może słuchając kroków nad głowami przekonamy się o tem!

— Jużem tak myślał, Matteo, ale to do niczego nie doprowadzi. Na statkach wielu oficerów nosi miękkie trzewiki, moglibyśmy się omylić. Mojem zdaniem należy się dostać do kajuty kapitana.

— Ale ta jest z pewnością zajęta.

— Bezwątpienia, ale tam się najlepiej uda. Carlo Battini, jak wszyscy wiecie spędził długie lata w Konstantynopolu i portach wschodnich i tam nabrał zamiłowania do wielkich wygod. Widzieliście w jego kajucie szeroką ławę pod oknem, okrytą dywanami. Na niej on spędzał długie chwile, marząc o niebieskich migdałach. Otóż moglibyśmy pod tą ławą wykroić dwie deski i niktby nie zobaczył naszej roboty.

Wszyscy jednogłośnie uznali, że Franciszek ma słuszną rację.

— Będziemy cięli bardzo ostrożnie, żeby nas z góry nie zauważano i nie przetniemy do końca, bo nużby ktoś zajrzał pod ławę? Zostawimy tyle drzewa żeby się deska trzymała i będziemy czekać.

— Zaczynajmy zaraz. Czegóż czekamy? — zawołał Matteo.

Wybrał sztylet bardzo ostry i wziął się do roboty, za jego przykładem poszli inni i do wieczora nacięcia były dostatecznie głębokie.

Przez dwa następne dni, okręt stał na kotwicy w porcie. Znoszono zapasy żywności i więźniowie domyślali się, że się znajdują przy wybrzeżu Sycylii lub południowych Włoch.

Kiedy znów rozpięto żagle, poznali po ruchu statku, że dmie silny wiatr i że morze jest wzburzone. W nocy burza uderzała z taką siłą o boki „Plutona”, że niepodobna było rozmawiać. Lecz pomimo to, a raczej właśnie dla tego wszyscy byli pełni radości i oczekiwania, bo nadeszła właśnie chwila, na którą tak długo czekali.

Co noc Franciszek chodził do marynarzy i zalecał im cierpliwość i spokój. Kazał mieć się zawsze na baczności, ponieważ przy pierwszej burzy zamierzał napaść na Genuńczyków.

Więc gdy się tylko ściemniło i kiedy zamknięto kłapę. Franciszek udał się z towarzyszami do środkowej części okrętu i tam jęli usuwać wory, aby cała załoga mogła się z nimi połączyć.

— Już wszystko gotowe — rzekł wchodząc pomiędzy nich — Rinaldo, pilnuj aby ludzie wychodzili pojedynczo. Każdy dostanie broń, stanie z prawej strony i będzie czekał dalszych rozkazów. Uważajcie, aby nie czynić najmniejszego hałasu, bo jeżeli który potknie się i upadnie, mogą pomyśleć na górze, że się towary poruszyły, przyjdą ludzie ze światłem i zanim opanujemy statek, dadzą sygnały innym okrętom.

Kiedy wszyscy marynarze byli uzbrojeni, Franciszek wrócił do swego więzienia, gdzie Matteo wraz z kilku innymi przeciął deski i spokojnie je położył na ziemi. Przez otwór wpadało blade światło. Dwóch towarzyszy podniosło Franciszka, tak, że mógł zobaczyć co się dzieje w kajucie. Była zupełnie pusta, to jest Franciszek nikogo nie dojrzał; mógł doprawda kapitan leżeć na ławie, ale w czasie burzy prędzej się znajdował na pokładzie wydając rozkazy.

Franciszek dał znak i towarzysze podnieśli go wyżej, tak, że mógł wydobyć się na podłogę. Wsunął się głębiej pod ławę, aż Matteo i Parnechi znaleźli się obok niego. Wtedy wszyscy trzej wyskoczyli ze sztyletami w ręku gotowi napaść na kapitana. Ale kapitana nie było. Zaczęli się więc wysuwać po kolei ochotnicy, Rinaldo, załoga, aż wreszcie cała kajuta była natłoczona. Przeszło pięćdziesięciu ludzi wydobyło się z głębi okrętu.

— Możemy iść — rzekł Franciszek zwłaszcza, że nie spodziewają się napadu i nie są uzbrojeni. Wychodźmy pojedynczo, a kiedy Genuńczycy zrobią alarm, to reszta niech się odrazu wysypie. Nie zabijajcie nikogo, tylko ogłuszcie uderzeniem rękójści.

To mówiąc otworzył drzwi i wyszedł na pokład. Wiatr był silny, ale na dnie okrętu wydawał mu się jeszcze silniejszy. Oczy Franciszka przyzwyczajone do ciemności, rozróżniały każdy przedmiot; z załogi zaledwie kilku majtków stało przy burcie, a oficerowie musieli się znajdować u steru. Powoli coraz więcej towarzyszy tłoczyło się za Franciszkiem, a kiedy około trzydziestu rozsypało się po okręcie, spostrzegł ten niezwyły ruch oficer stojący na tylnym pomoście i zapytał:

— Pociście tu przysli kiedy was nie wołano?

— Napadnij na majtków, Parnechi, a ja zawołam resztę i schwytam oficerów.

Pobiegł do kajuty i wrócił, a za nim posypali się marynarze. Oficer znów zawołał:

— Co się dzieje, co to wszystko znaczy.

Franciszek wbiegł po drabinie na tylny pomost i zanim oficer zdolał przemówić, zanim dobył miecza, już go powalił na ziemię.

Kapitan i trzej inni oficerowie rzucili się naprzód myśląc, że się załoga zbuntowała ale Franciszek zawołał:

— Złóżcie broń. Odebraliśmy wam broń i jeżeli się natychmiast nie poddacie, to grozi wam śmierć.

Oficerowie spojrzeli zdumieni po sobie, lecz widząc dwudziestu przeciwników, rzucili broń na ziemię. Franciszek kazał ich zamknąć w kajucie i strzedz pilnie, a sam z resztą ludzi udał się na pomoc oddziałowi, którym dowodził Parnechi. Zwycięstwo było ogólne, Genueńczycy poddali się bez walki i statek wrócił niebawem do swych prawych właścicieli. Otworzono kłapę i reszta weneckiej załogi weszła na pomost. Genueńczyków zamknięto na ich miejscu.

— Rinaldo — rzekł Franciszek — każ rozbić latarnię na wielkim maszcie.

— Ale możemy ją spuścić, kapitanie.

— Możemy, ale ja nie chcę jej spuszczać tylko rozbić.

Rinaldo nie odpowiedział, wysłał majtkę na szczyt masztu i po chwili światło zgasło.

— Gdybyśmy spuścili latarnię — rzekł Franciszek do Mattea, mogliby się Genueńczycy domyśleć, że się chcemy ukryć przed ich wzrokiem. A tak pomyśla, że światło wiatr zgasił. Teraz spuścimy tylko żagle i damy się wyprzedzić flocie.

— Przed chwilą liczyłem, jest szesnaście światła.

— Naszych czternaście i dwie galery genueńskie, Parnechi, zajmij się, aby wszyscy ludzie byli gotowi do walki, Rinaldo zwin żagle, abyśmy zostali na tyle floty.

Załoga spodziewała się tych rozkazów, lecz nie mogła ukryć zdziwienia, gdy Franciszek rozkazał znów rozwinąć żagle, kiedy ostatni okręt przepływał około Plutona.

Signor Parnechi, oddziel pięćdziesięciu ludzi ja chcę najechać na ten okręt i zdobyć go także; nie zobaczą nas, a będziemy blisko i pomyślą, że to przypadek. Jak tylko pokonamy Genueńczyków, ja wrócę na mój okręt, a pana zostawię na zdobytym. Uwolnisz naszych i powiesz mi ilu ich jest, ja będę się trzymał niedaleko.

Pluton zbliżał się ukośnie do okrętu. Załoga uradowana, że nie tylko sami się uwolnili, ale przyjdą z pomocą rodakom, stała na pomoście, ściskając broń w dłoni. Plutona niedostrzeżono, aż się przybliżył na jedną długość okrętu. Wtedy dały się słyszeć wołania.

— Poco najeżdżacie, skręcajcie na lewo. Dlaczego nie macie światła?

Franciszek dał niewyraźną odpowiedź, Rinaldo poruszył ster i okręty płynęły obok siebie. Żagle ich i reje poplątały się i niepodobna było na razie je rozdzielić. Franciszek wdarł się z częścią załogi na pokład nieprzyjacielskiego okrętu.

Bitwy prawie nie było. Genueńczycy przerażeni, rzucali broń i uciekali do kajut; we dwie minuty Wenecyanie opanowali statek.

— Wracajmy — zawołał Franciszek, bo się okręty pogruchoczą!

Rozkaz jego wykonano w mgnieniu oka, zostało tylko pięćdziesięciu ludzi na zdobytej galerze. Rozcięto sznury, zwrócono ster na lewo i Pluton oddalił się od swej zdobyczy. Ale zwycięstwo nie obeszło się bez ofiar. Kilku ludzi zginęło w bitwie, burty Plutona zostały strzaskane, boki poździerane i Rinaldo przyszedł niebawem z raportem, że się potworzyły szpary przez które wchodzi woda.

— Niech cieśla jc pozatyka jak i czem może, a tymczasem wypompujcie wodę. Jaka szkoda, że wiatr coraz to się

zwiększa; gdyby morze było spokojne, tobyśmy po kolei wszystkie statki odbili.

Pluton płynął w pobliżu zdobytego okrętu i niebawem usłyszano głos Parnechiego, który mówił, że uwolnił dwustu więźniów.

— Uzbrój ich natychmiast — zawołał Franciszek — zgaś światła i napaadnij na okręt, który widzisz najbliżej na prawo. Gdy go zdobędziesz, to spuść żagle w obu okrętach, ja uczynię to samo.

Pluton oddalił się i skierował do okrętu, który płynął najbliżej. Zdobyto go równie łatwo jak poprzednie. Ale tym razem nie tylko się zniszczyły burty, ale wielki maszt pękł i zwałił się na stronę.

Na statku było stu więźniów, którzy szaleli z radości że ich odebrano Genueńczykom. Franciszek rozkazał im nie oddalać się od „Plutona”, ponieważ mógł potrzebować ich pomocy. Jak tylko zniknęły światła genueńskie, Franciszek zapalił latarnię, ażeby się statki nie rozprasały.

O wschodzie słońca wiatr ustał i cała załoga Plutona zabrała się do podniesienia wielkiego masztu. Zadanie było trudne, tem bardziej, że choć wiatr się uspokoił, morze było jeszcze mocno rozkołysane. Nareszcie po długich mżożach udało się wciągnąć go na pokład i przywiązać sznurami do pozostałego pnia, który wznosił się na sześć stóp nad pomostem. Założono żagle i po południu okręt był gotów do drogi. Na szczytach czterech masztów powiewały flagi weneckie, które załogi statków powitały z szaloną radością.

## XVII.

### Niewdzięczna Rzeczpospolita.

— I pomyśleć, że odbiliśmy cztery okręty, Franciszku! co za zwycięstwo! — rzekł Matteo.

— Ja się z tego także cieszę, ale mogło być o wiele lepiej. Bo przecież, gdyby burzy nie było, odebralibyśmy wszystkie po kolei i nawet genueńskie wpadłyby w nasze ręce; ale z takim morzem niepodobna sobie dać rady.

— Nigdy nie marzyłam o niczem podobnem, a kiedy pierwszy raz powiedziałeś, że chcesz opanować „Plutona”, to nie chciał wierzyć i żaden z nas nie brał tego na seryo.

— Mnie się zdawało, że to rzecz możliwa; bo czyż to nie wstyd, żeby stu pięćdziesięciu ludzi dało się zawieźć jak barany na jarmark, zwłaszcza, że przeciwnicy byli trzy razy słabsi.

— Teraz możesz być pewien, że jeżeli każesz płynąć napród i zdobyć Genuę, to nikt ci się nie sprzeciwi.

— Na szczęście nic podobnego nie rozkażę. Tymczasem każ rozpiąć wszystkie żagle i wracać do domu.

Od schwytych Genueńczyków dowiedzieli się, że flota przepłynęła cieśninę, że zatrzymywali się w porcie Messyńskim i wieczorem kiedy się niebo rozjaśniło i zaświeciło słońce, ujrzeli w oddali poszarpane szczyty gór kalabryjskich. Genueńczycy powiadali, że w cieśninie nie było więcej ich statków, dlatego Franciszek zaniechał zamiaru płynięcia Sycylii, który powziął na razie z obawy przed nieprzyjacielem.

(d. c. n.).

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Koronacja Ich Cesarskich Mości z portretami. — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Wybrzeża północnego Labradoru (z drzew.) — Uroczystość Bożego Ciała, wiersz p. E. L. — Widok Kremlu w Moskwie (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Dodatek: Sowa mistrzem, wiersz p. M. D. (z drzew.) — O młodym koguciku p. Maryę Weryho. — U stolarza. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

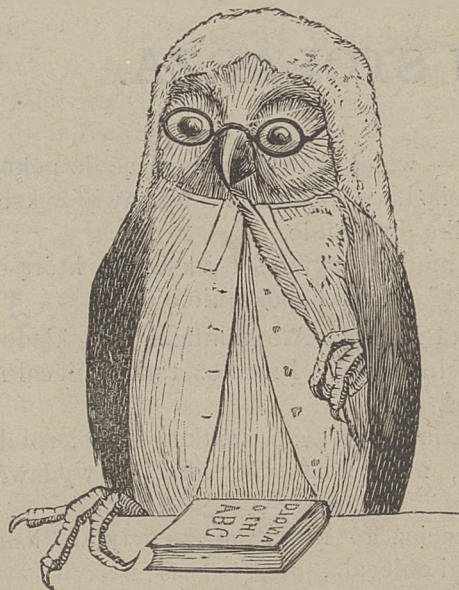


# WIECZORY RODZINNE

## SOWA MISTRZEM.

Jakie wielkie są twe oczy,  
Jakie bystre twe spojrzenie  
Pani sowo! Toć i nocy  
Ty przenikasz pono cienie?  
Dla cię niema nic skrytego  
Tak mi ludzie powiadają,  
I człowieka najmądrszego  
Z tobą chętnie porównują.  
Więc zem wiedzy bardzo cheiwy,  
Weź mię proszę w swą naukę  
Opowiadaj świata dziwy,  
I wskaż życia trudną sztukę.  
Tylko, abym coś zrozumiał  
Wskaż mi proszę, jaką mowę  
Pierwej trzeba, abym umiał  
Nim za mistrza wezmę sowę.

M. D.



## O MŁODYM KOGUCIKU.

— Nie chcę być z wami! Tu i robaki są twarde woda brudna, a w tym piasku to chyba upiec się można.

Tak mówił raz jednego młody kogucik do swego rodzeństwa

— A więc dokąd pójdziemy? — pytały pisklęta.

— O, moje drogie, czy to mało jest miejsca na świecie, pójdę het, daleko za te łąki, za te pola, za lasy — mówił kogucik.

— Nie boisz się bez matusi? — pyta małe kurczę.

— Ani trochę! Wczoraj południe w ogrodzie spędziłem i nic mi się nie stało! No, bądźcie zdrowe! Bardzo mi się spieszy.

I powędrował młody kogucik.

Jak długo szedł, sam nie pamięta. Przechodził drogi i doły, nawet w paru miejscach błoto i wodę napotkał, aż nareszcie wszedł na rżysko.

Zatrzymał się, rozgrzebał ziemię, znalazł parę ziarenek miękich i słodkich.

— To mi się nazywa jedzenie — pomyślał kogucik — jaki smak wyborny.

Dalej znowu kłos zboża zobaczył i ten mu też bardzo smakował. Wesół i zadowolony, śmiało kroczy na przód; wtem spostrzegła cały mendel snopów.

Aż pianał z radości.

— Wszak to same kłosy z ziarnami! Wyborna rzecz! Zamieszkać tu dłuższy czas: w dzień będę przechadzał się po polu, noc przepędzę wśród snopków, będę miał

pod ręką dobre śniadanie, potem wzlęcę na wierzeh snopków, tak głośno zapieję, żeby mnie cały las posłyszał... i kogucik zapiął rzeczywiście cieniutkim głosikiem: ki-ki-ri-ki!

W tej samej kupie zboża mieszkały dwie rodziny myszek, które nigdy jeszcze takiego głosu nie słyszały i okropnie się go przelekły. Zerwały się prędko, zaczęły zeskakiwać ze snopów, a jedna przypadkiem na koguta upadła.

Kogut ze strachu głowę stracił, zdawało mu się, że go jakieś potwory napadły. Jak się zerwie, jak zacznie uciekać, ani się obejrzy.

Już ledwie oddycha, skrzydełkami sobie tylko dopomaga, tak ucieka.

Nareszcie zobaczył parkan, prędko wsuwa się pod niego; ale już nie ma siły iść dalej i pada na ziemię jak nieżywy. Długo tak leżał z zamkniętymi oczkami, a serduszko mu biło, jak młotem. Nareszcie oprzytomniał.

— Gdzie jestem — myśli sobie — co się ze mną dzieje?... A, prawda, przypominam sobie... te zwierzęta chciały mię pożreć, to było okropne!... O, gdybym mógł mieć matusię przy sobie, ale gdzie ona jest? Pewno bardzo daleko odemnie! Wtem słyszy znajomy sobie głos Wawrzyńcowej:

— Cipu... cipu... cipuchny! cipuchny!...

Zerwał się kogucik na równe nogi, leci, i już z dale-

ka widzi wszystkich znajomych, kaczkę, kury i matule-  
kwokę z kurczętami... Uciekając przed myszkami, kogucik  
wpadł na swoje podwórko, tylko z grugiej strony.

Zebrał resztki sił, pobiegł za matką do kurnika,  
i tam opowiadał o swojej przygodzie.

*Marya Weryho.*

## U STOLARZA.

— Tatusiu — wołał Tadzio, wbiegając do pokoju —  
jaką ja śliczną książkę widziałem na wystawie w księgarni.  
Kosztuje tylko dwa ruble.

— Jeszcze nie przeczytałeś tej książki, którą ci da-  
łem na „gwiazdkę” — rzekł spokojnie ojciec.

— E! to taka nudna. Ale tamta... Na okładce ko-  
palnia, jaskinia, Indyanie. Przecież tatko obiecał mi za  
cenzurę kupić coś.

— Mój Tadzio — wtrąciła matka — dopiero dosta-  
łeś różne rzeczy, nie można tyle pieniędzy wydawać na  
zabawki.

— Ale przecież to nie zabawka, tylko książka.  
Wreszcie tatko mi obiecał...

— Obiecałem ci — przerwał ojciec — i jeżeli nie  
zmienisz swego zdania, kupię ci tę książkę... Ale po  
obiedzie wyjdiesz ze mną — dodał po chwili... — Tym-  
czasem siadaj do obiadu.

Tadzio był niezmiernie zadowolony, dokąd go  
ojciec zabierze.

— Ha, zobaczę — pocieszał się.

W godzinę później ojciec z Tadzioem byli już w dro-  
dze. Z początku przechodzili ulice znane, ale potem Ta-  
dzio już nie wiedział zupełnie, gdzie się znajdują. Gdzie-  
niegdzie tylko sterczał wysoki dom murowany, a inne  
były małe, drewniane.

Rzecz dziwna, Tadzio nie śmiał zapytać ojca, dokąd  
idą, a choć był zmęczony, podążał szybko, aby nie pozo-  
stać w tyle ani o krok. Bał się tej ulicy, nie oświetlonej  
lampami wystaw sklepowych, pustej. Ani jednej do-  
rożki, rzadko kiedy przesunął się jaki przechodzień.

Wreszcie ojciec przystanął, spojrzął na numer do-  
mu i zapytał siedzącego przed bramą stróża:

— Mój przyjacielu, gdzie tu mieszka pan Lituski?

— Ładny mi to pan — mruknął stróż — z głodu  
mrą biedacy.

I stróż poszedł naprzód, a Tadzio, tuląc się do ramie-  
nia ojca, smutnie szedł po wązkich i ciemnych schodach  
do jakiejś piwnicy. Drżał cały; zdawało mu się, że to  
sen straszny, że ojciec lada chwila zniknie, a on pozosta-  
nie w tym ciemnym lochu sam, sam jeden.

— To tu — rzekł stróż, pchnąwszy maleńkie  
drzwiczki.

Weszli.

Na zimnym kominie paliła się świeca. Tadzio zra-  
zu nic nie mógł rozpoznać. Dopiero po długiej chwili, gdy  
wzrok jego przyzwyczaił się do ciemności, ujrzał leżącą  
na ziemi kobietę, a obok niej troje maleńkich dzieci. Da-

lej, w kącie stała dziewczynka, starsza nieco a przy ko-  
minie, wsparłszy się na dłoni, siedział ojciec rodziny.  
Długa, rozczochrana broda, blade twarz i rozpaczliwe  
jego spojrzenie, przykre wrażenie czyniło.

— Co pan sobie życzy? — zapytał głosem świszczą-  
cym i ochryplym, zwracając się ku ojcu.

— Tatusiu! — zawołał Tadzio — uciekajmy stąd, ja  
się boję...

— Nie bój się, mój paniczku — odparł biedny czło-  
wiek — ja nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłem.

— Przepraszam was za syna mego — rzekł tymcza-  
sem ojciec — to dziecko jeszcze; on nigdy nie widział  
z bliska biednych ludzi. Czytałem — ciągnął po chwili  
dalej — Czytałem w „Kuryerze” przed kilku dniami  
o tym nieszczęśliwym pożarze, który wam wszystko za-  
brał, dowiedziałem się, gdzie mieszkacie, i chcę wam  
przyjść z pomocą.

— Dziękuję panu — zawołał, wstając — ale jaby-  
m nie chciał przyjmować jałmużny. Widzi pan, trzydzieści  
lat żyłem z pracy, to potem nie łatwo rękę wyciągać.

Ojciec Tadzia bacznie przyglądał się mówiącemu  
i zdawało się, spostrzegł coś, co go do głębi wzruszyło,  
gdyż w tejże chwili przerwał drżącym głosem:

— Nie, mój pocziwy człowieku, nie będzie to łaską  
wcale, ale za ledwie splaceniem długu, który mi leżał na  
sercu. Zapomnieliście zapewne jak raz oddaliście znale-  
ziony pugilares z pieniędzmi; było to dwa lata temu,  
a jednak poznałem was. Pamiętacie, było to na Marszał-  
kowskiej ulicy. Chciałem was wynagrodzić, zapytałem  
o nazwisko — uciekliście przedemną. I kto by to pomy-  
ślał, że was znajduję jeszcze i to w takiej potrzebie. W wa-  
szych rękach był wtedy cały mój majątek!

— Józio! — odezwał się głos z tapczana — czy nie mó-  
wiłam ci, że Bóg nie może opuścić ludzi uczciwych.

I Tadzio, oszołomiony tem, co słyszał, ujrzał, jak  
chora kobieta zwlokła się na ziemię, jak obok niej ukląkł  
ten, którego tak lekkomyślnie się przeląkł i jak długo  
modłąc się, płakali z radości.

Tymczasem ojciec Tadzia zawołał stojącą nierucho-  
mie dziewczynkę i kazał jej kupić drzewa, bułek, masła,  
świec i tych wszystkich niezbędnych rzeczy, których im  
brakowało.

(d. n.)

## Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Chodź próżniaku... musimy iść dalej...

— Nie pójdę, aż zjem kawałek suchara... i malec  
usiadł na stosie kamieni...

— Tutaj nie można, każdy przechodzień nas zo-  
baczy.

W tej chwili usłyszeli szczekanie psa w oddali...

— Karczmarka jedzie — zawołała Melcia — zabie-  
rze nas oboje!

Iwonek zerwał się na równe nogi, uciekli w pole, gdzie rosła kępa dużych drzew. Niewyspani, zmęczeni, głodni, położyli się na trawie, spać im się chciało okropnie. Z miejsca gdzie byli ukryci, widzieli zabudowania folwarczne, ruch się tam zaczynał, otworzyły się wrota i pastuch popędził bydło do wody. Gdy znikł im już z oczu, wstali i poszli tą samą drogą na folwark, we drzwiach stała kobieta, przyglądając im się z oddali.

— Dzień dobry pani — rzekła Melcia — przychodzimy prosić, aby nam pani sprzedała kawałek chleba.

— A skąd wy dzieci?

— Z domu. Koszyk nam upadł i zapasy które mieliśmy wpadły do wody.

— Dokąd idziecie?

— Do naszej ciotki, Genowefy.

Kobieta zadająca im te pytania nie spuszczała ich z oczu, znajdując, że nie mają bynajmniej miny włóczęgów, ale wyglądają na poczciwe dzieci. Melcia nie zapominała oczyścić ubrania i poprawić włosów, a sympatyczne ich twarzyczki, miłe czynili wrażenie.

— Zaraz będzie śniadanie — odrzekła gospodyni. — już wszyscy się schodzą.

Z obory wyszło trzech mężczyzn, z których przodem idący musiał być gospodarzem, weszli do izby, gdzie już czekała na nich dymiąca misa i zasiedli do jedzenia.

— Znajdzie się i dla was moje robaki — powiedziała gospodyni, stawiając przed dziećmi dwa talerze tejże samej zupy, a zwracając się do męża:

— Zbłądzili w drodze... a widać, że muszą być bardzo głodni.

Oj, byli głodni i z jakim apetytem zajadali doskonałą zupę, gdy skończyli, Melcia wyciągnęła pieniądze i przysunęła się do gospodyni chcąc jej płacić.

— Schowaj je moja dziewczynko, my zapłaty za łyżkę strawy nie bierzemy.

Melcia podziękowała grzecznie i zapytała o drogę do Paryża i czy Paryż ztąd daleko.

— Przecież tam nie idziecie?—zapytał jeden z mężczyzn, wybuchając głośnym śmiechem — chyba, że nakształt ptaków macie skrzydła i umiecie fruwać, a i tak dość czasu upłynie, zanim się tam dostaniecie. Co zaś do drogi to ją stąd możecie widzieć, zawsze prosto przed siebie...

Melcia nie tłumacząc się dalej, ukłoniła się całemu towarzystwu i biorąc Iwonka za rękę, wyszła, kierując ku wskazanej drodze.

Gdy znaleźli się sami i wolni, dobry humor powrócił, byli wypoczęci i posileni. Jeżeli Paryż był tak daleko, a oni nie mieli skrzydeł, posiadali w zamian młode i dobre nogi, i zapas pieniędzy, który niewątpliwie wystarczy im na długo. Melcia miała lat dziesięć, Iwonek ośm, w tym wieku nigdy się nadziei nie traci.

Odwróciwszy głowę, Melcia ujrzała kilku ludzi idących za nimi, a bojąc się ciągle by ich kto nie gonił, lub z dawnych znajomych nie poznał, skręciła w bok i ukryła się wraz z bratem w suchym, porośniętym trawą rowie, by poczekać aż ci ludzie przejdą.

Zjedzona zupa z jarzynami, której oddawna nie kosztowali, zrobiła ich ociężałymi... Głód był nasycony, ale sen upominał się o swe prawa, powieki ciężyły i mimo-

woli pomaleńku oczy im się do snu kleiły... zasnęli... Było już dobrze po dwunastej gdy się obudzili, we śnie zapomnieli gdzie się znajdują, spali trochę za długo i wielki był czas puścić się w dalszą drogę, by wynagrodzić to opóźnienie.

Szli długo, a gdy się zmierzchać zaczęło, spostrzegli przed sobą szczyt dzwonnicy, co wskazywało, że wioska musi być w tem miejscu. Wyczerpani, doszli wreszcie do pierwszego domu przy drodze, znak umieszczony nad drzwiami wskazywał, że to oberża. Wszedłszy do wnętrza ujrzeni starą kobietę, która siedząc w głębi przędła, od czasu do czasu na drzwi spoglądając. Melcia podeszła do niej i zapytała czy mogą dostać kolację.

— A macie czem zapłacić?

Na widok pieniędzy, stara przyniosła im chleba razowego, masła i dwie szklanki jabłeczniku.

Zapytana, czy chciałyby przyjąć ich na noc, za małą opłatą, posłała im słomy w kącie izby... Przyjęcie to niepodobne było do rannego, to też nazajutrz bez żalu opuściły dzieci oberżę, zapłaciły co się należało i na drogę kupiły sobie chleba.

Czas był prześliczny, a droga w dzień taki stawała się prawdziwą przyjemnością. Paryż nie musi być już daleko, myśleli oboje, będąc w bardzo wesołym usposobieniu. Fiołki już kwitły, kukułki odzywały się w lasach i zaroślach, rowy i łąki bielily się od pierwiosneków. Melcia zaczęła je zrywać, a za jej przykładem Iwonek.

— Poczęstuję ja was kijem za łażenie i zbieranie kwiatków na sianej łące — zawołał głos jakiś za nimi, i ujrzeni siedzącego na drzewie dużego chłopca z kijem w rękę.

Zastraszeni jego groźbą uciekli i uspokoili się dopiero, gdy przebiegłszy kawał drogi przekonali się, że ich nie goni.

Dzień ten i dwa następne przeszły bardzo dobrze naszym młodym podróżnym, nie zabrakło im aniżywienia, ani schronienia na noc, wszędzie przyjmowano ich uprzejmie. Dzień czwarty był mniej pomyślny, musieli nocować w jakiejś próżnej szopie.

Wszędzie, gdziekolwiek Melcia zapytała o drogę do Paryża, śmiano się z ironią lub niedowierzaniem, że już się pytać nie śmiała, a tak chciałyby wiedzieć, jak prędko tam zajdą.

Czuli oboje jak z każdym dniem sił im ubywało... Ale najbardziej byli przerażeni brakiem pieniędzy, wydali już wszystkie. Co teraz poczną? Po przebudzeniu ujrzeni się otoczeni mgłą tak gęstą, że nie ani widać ani słychać w koło nie było.

(d. c. n.)

## ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Poziomka dla T. P.

Ks...ż.k m.sz d.ż. .l.ś n.. .cz.n.

B. wsz.dz.. w.dn..j. n..r.zc..t.str.n.

Zastąpić kropki literami i odczytać dwuwiersz.

S Z A R A D A.

przez E. M.

*Pierwszych się nie bój, to widma senne;  
Jak mgłę rozprasza je światłoienne;  
Drugie tem dla mnie, co imię twoje;  
Z czwartem złączone wspiera powoje.  
Weź czwarte z trzeciem, a będzie z tego  
Nazwisko ptaka dżdżu spragnionego.  
Wyspą w Zachodnich Indyach rzecz cała,  
Która w odległej wieków przeszłości  
Odkrytą przez Kolumba została;  
Dziś część francuzkich tam posiadłości.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ulożył Kubuś E.

Wyszukać 18 wyrazów, którychby początkowe litery złożyły imię i nazwisko przyjaciela i opiekuna dzieci. Znaczenie wyrazów: 1) Ptak drapieżny. 2) Kraj należący do Austrii. 3) Część świata. 4) Zwierzę ssące drapieżne. 5) Gatunek lilii. 6) Szlachetny metal. 7) Szczyt w Tatrach. 8) Imię wielu królów syryjskich. 9) Królestwo w środku Europy. 10) Rzeka w Turcyi Azyatyckiej. 11) Część świata. 12) Imię żeńskie. 13) Królestwo w Europie. 14) Gatunek psa. 15) Rzeka wpadająca do m. Bałtyckiego. 16) Kraje w Azji. 17) Metal powstały ze związku chemicznego. 18) Zwierzę ssące z rzędu szczurowatych. Sylaby: So—ty—a—niedź—i—sre—łom—an—wę—jor—a—ce—ho—o—wi—in—cy—za—kól—rol—fry—wiedź—ris—bro—ni—tyoch—gry—dan—me—cy—lan—gar—sła—dyc—na—jąc—ka—ca—ry—lia—dya—ka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Zagadki: M y ś l.

Łamigłówek geograficznej:

- 1) Kordyliery. 2) Orinoko. 3) Nil. 4) San. 5) Tasmania. 6) Amur. 7) Nubia. 8) Tajó. 9) Yokohama. 10) Niger. 11) Ob. 12) Persya. 13) Ontario. 14) Lindyn. Konstantynopol.

Kwadratu magicznego:

n o c  
o n a  
c a l

Skrzynka do listów.

Uł mowi z T. przesłaliśmy powtórnie żądane numera, jakkolwiek nie z naszej winy zaginęły na poczcie. Wspomnianą powieść Sienkiewicza nabyć można w każdej księgarni za rs. 5.

Odezwy starych znajomych zawsze mile witamy i wdzięczni jesteśmy za życzliwe wyrazy, równie jak za przesłane przez K. M. rs. 3 na kolonie letnie.

Stefusowi S. Wieczory pod wskazanym adresem wysyłamy, mamy też nadzieję, że czytanie ich w ciągu swobodnych chwil wakacji będzie dla niego miłą rozrywką.

Nie dziwimy się bynajmniej, kochana Wróżbiarko szczęścia, że cieszysz się ze spotkania z dawną towarzyszką i przyjaciółką lat dziecińczych; stosunek taki bywa najtrwalszym i najcenniejszym. Należy tylko zawsze czynić dobry wybór przyjaciół, zwracając przedewszystkiem uwagę na wartość moralną osoby, do której czujemy sympatyę. Za serdeczne dla nas wyrazy dziękujemy.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: Ścierczek, Niezapominajka z n. Sanu, Reginka S., Dzieciół, Terkotka, Bronisława, Czesław B., Wiołoczelista, Bezimienny i biały Łabędź, który przecież w układzie przesłanej szarady popełnił omyłkę, albowiem rzeka nazwana przez niego Roną zowie się Rodan, łamigłówekę zaś podał bez rozwiązania.

Zelazny Gołębek niesłusznie obwinia Redakcyę o zapomnienie o sobie, żadnego bowiem listu nie zostawiamy bez odpowiedzi.

Janowi P. zwracamy uwagę, że do zadań konikowych używa się zawsze zdań rymowanych, a nadto zadanie takie powinno być ułożone według zasady skoków konika szachowego, od którego też zapożyczają nazwy swej.

Lubo mogłabym nie ufać drapieżnego rodzaju istotom podpisującym się Kizia-Mizia, nieufność musiałaby ustąpić w obec miłych i serdecznych wyrazów twego listu. Chętnie też ową „niesforną” figlarną, ale widocznie dobrem sercem i żywym umysłem obdarzoną koteczkę, przyjmuję w poczet korespondentek moich. Oprócz utworów Mayne Keida i Verne'a zajmujące są również z aut. francuskich prace: André Laurie, Valdes'a, Nicole'a, Brunet'a Stahl'a, i Miler'a, z przekładów zaś na francuskie: Stevensona, Greenwood'a i Neucomm'a. (Pierwszego zajęłaby cię niewątpliwie: *L'île au Tresor*. Z niemieckich znów autorów wydają podróże dla młodzieży: Barfuss, Falkenhorst, May, Wörishoffer.

Pytasz Różowy Obłoczku, czy można bez ceremonii odzywać się do mnie, jak do zwykłej jaskółki? Przyjemną mi jest zawsze tego rodzaju poufałość ze strony młodych korespondentek, w naszym bowiem ptasim rodzim, do czczych tytułów nie przywiązujemy znaczenia, lubo cenimy grzeczność i uprzejmość, stanowiące niezbędnym warunkiem wzajemnych stosunków wśród ludzi dobrze wychowanych. Przyslaną mi łamigłówekę złożyłam w Redakcyi.

Rada jestem Konwalijko z nad Kubani, że skrzydlate towarzyski moje, zawitawszy z wiosną w wasze strony, wesołem szczerotaniem zachęciły cię do zabrania znajomości z jaskółką z Redakcyi Wieczorów; zyskałam tym sposobem miłą korespondentkę, o której dobrem i liłościwem serduszkem nie mogę powątpiewać skoro na początek znajomości przesłała wraz z młodszymi siostrzyczkami, Wańdzą i Manią, na Kolonie letnie rubli sześć.

Łamigłówekę twoją Terkotko oddałam Redakcyi. Jak długo potrwa druk powieści: Nieznajoma z poddasza, którą czytasz z takim upodobaniem, powiadomić cię nie mogę. O terminie nadsyłania robót do Redakcyi wkrótce się dowiesz.

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

M. K. rs. 3. — Konwalijka z nad Kubani z siostrzyczkami Manią i Wańdzą rs. 6. — Jan P. rs. 3. — Starszy braciszek kop. 2 i 4 książki do czytania, Młodszy braciszek kop. 25. — Tollo z siostrzyczkami, Nelly, Ludą i braciszkiem Alfonskiem rs. 10. — Wróbelek z nad Indry rs. 1. — Wańdzia i Felusia F. rs. 2.